№ 13. Warszawa, dnia (18) 31 Marca 1900 roku. Rok XLII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie:		Z przesyłką pocztową:	
kwartalnie . . .	rs. 1	kwartalnie . .	rs. 1.25
Za odnoszenie do domu kop. 10.		półrocznie . .	„ 2.50
		rocznie . . .	„ 5.—

Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

ZA GRANICĄ: **We Lwowie i Krakowie:** Kwartalnie **flor. 1.80.** Na prowincyi **flor. 2.20. W Poznaniu** kwartalnie **mr. 3,** na prowincyi **mr. 3.75.** W innych państwach związku pocztowego kwartalnie **rs. 1 kop. 60,** lub walutą zagraniczną podług kursu.
Agencye główne na Galicyę: **we Lwowie** Agencya dzienników i inseratów **St. Sokołowskiego** Pasaż Hausmana l. 9; **w Krakowie** Księgarnia **S. A. Krzyżanowskiego.** Agencya główna na Niemcy **Księgarnia Świętego Wojciecha** w Poznaniu.

CENA OGŁOSZEŃ: Za wiersz **petitu** jednoszpaltowy lub jego miejsce **kop. 12 „Nadesłane”** wiersz garmontu **kop. 50.** Ogłoszenia przyjmuje **Administracya pisma** i wszystkie **biura ogłoszeń warszawskie** i znaczniejsze zagranicą. **Zmiana adresu kop. 15.**

Adres Redakcyi i Administracyi:

Warszawa, Chmielna 26.—Telefon 106.

Od Redakcyi.

Z uwagi, że spóźnione wnoszenie prenumeraty oprócz utrudnień dla administracyi, pociąga za sobą nadto niemożność obliczenia nakładu pisma, przez co wszystkim zgłaszającym się później odmawiać musimy wysyłania „Tygodnika” — upraszamy Szanownych Abonentów o wczesne wnoszenie prenumeraty na kwartał drugi roku 1900.

Przypominamy Szanownym Prenumeratorom o nadsyłaniu kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.

Adres: „Tygodnik Mód i Powieści” w Warszawie, Chmielna Nr. 26.

SEWER.

LEGENDA.

(Dalszy ciąg).

Królewna na pierwszym odpoczynku odesłała rycerzy i wiernego sługę na zamek i sama szła w świat przez ogrody cieniste, łąki pełne kwiecia, brzegiem jeziora wielkiego... Spozierali na nią ludzie i kłaniając się szeptali:

— A gdzież to idzie sama królewna, czego szuka — mało to złych — gotowi ją obedrzeć z kosztownych szat!..

— Prawda — pomyślała sobie, i ujrzawszy dziewczynę wiejską zbierającą jagody, podeszła do niej i prosiła, aby się z nią zmieniła na suknie. Dziewczę w ręce klasnęło i szybko zdjąwszy swoją zapaskę, spódniczkę i chustkę z głowy oddało krolewnie, a sama wystroiła się w tęczowe szaty świecące od dyamentów. Jeno trzewiczków na nogi nałożyć nie mogła i do kieszeni je schowała.

Królewna poszła dalej rada, że nikt jej nie pozna.

Nagle usłyszała jakby śpiew słowika — niby żal zbłąkanego dziecka—biegnie, patrzy...

Idzie pacholę, w ręku skrzypeczki, a na głowie wianek z róż i maków korali...

— Ktoś ty?—pyta go królewna.

Chłopiec milczy, jeno smyczkiem zawodzi i gra—nie gra a płacze.

Ścisnęło się serce w królewnie, rękami go objęła, szepcząc mu do ucha:

— Nie płacz, pocieszę cię.

Lecz chłopiec odrzekł:

— Nie budź mnie, ja śnię.

I zaprawdę miał oczy zamknięte, ręka mu sama chodziła po skrzypkach. Zdjęła mu wianeczek z głowy, a on oczy nagle otworzył z przestrachem i krzyknął:

— Idź precz, śniłem, że stoi przedemną królewna, a tyś dziewka prosta.

— Jestem królewną—odrzekła.

Lecz chłopiec z pogardą na nią spojrzał i wianek położył na głowę, i znowu grając rzewne piosenki, poszedł.

Królewna westchnęła i szła dalej, aż w puszczę wstąpiła leśną. Nigdy takiej nie widziała i takich olbrzymów drzew. Z trudem przedzierała się przez głogi i tarniny, które cierniami zdzierały z niej odzież i do krwi drapały białe jej ramiona.

Ciemno się zrobiło, noc zapadła, głód ją męczył i bojaźń, że śmierć nadchodzi. W lesie słyszała jęki.

Usiadła na pniu i cicho płakała. Ze zmęczenia głowa jej opadła—usnęła.

Rano zbudził ją świergot ptaków i blask słońca. Głód wzrastał i dręczył ją okrutnie.

Zobaczyła gniazdko, w gniazdku sześć jajeczek i pomyślała, że to Pan Bóg jej zsyła pożywienie. Wyciągnęła po nie rękę, lecz nagle coś zatrzepotało i zapiszczało. Para czyżyków latając nad gniazdkiem prosiła ją:

— Nie rób zła, nie rób zła—puść, puść...

Przestraszona królewna, że mogła zasmucić ptaszka, odeszła od gniazdka. Szukała jagód, nie było ich; na orzechy jeszcze nie przyszedł czas, a korzonków leśnych wynaleźć nie umiała.

Słońce mknęło wysoko; zgłodzona upadła na ziemię myśląc, że już Bogu ducha odda. Zaszeleściało coś w krzakach, patrzy, stoi przed nią pies olbrzymi. Ucieszyła się, lecz był to wilk—pogłaskała go, a on patrzał na nią życzliwie, przyległ do jej nóg podrapanych i lizał je.

Królewna przekonała się, że nie polepszy sobie losu odpoczywaniem, zmogła się na siłach i znowu w drogę. Wilk szedł przy niej, ocierał się o nią i mówił:

— Jam jest siła—siadaj mi na grzbiet.

Usłuchała go; szybkim galopem popędził z nią bez wytchnienia. Zatrzymał się nad brzegiem strumienia. Królewna ujrzała drzewo osypane wiśniami.

Gdy je zrywa, coś zasyczało pod jej stopami—patrzy, wąż przyciśnięty kamieniem wije się z bólu. Wilk chciał go zagryźć, ale królewna szybko kamień odjęła i litując się, podjęła węża i owinęła go koło ręki, aby się ogrzał ciepłem jej ciała.

— Dobrze zrobiłaś — rzekł wąż — że mnie przygarnęłaś do siebie, bo ja jestem mądrość.

Poszli dalej we troje.

Puszcza robiła się rzadsza, od pól ornych zalatywały zapachy. Szli długo, długo, aż weszli na szeroką drogę.

Królewna się ucieszyła, lecz w tej chwili doleciały ją skargi i żale.

Kobiecina biedna czworo dzieci trzyma na kolanach, płaczą i zawodzą.

— Cóż im to?—zapyta królewna.

— Daleko nieść mi moje biedne pisklęta, nie mam już sił.

Wilk mruknął i odbiedz chciał, ale powstrzymała go królewna.

— Musisz pomódz mój przyjacielu — rzekła do niego. — Posadziła mu na grzbiet troje drobnych dziatek, a sama chore niebożę wzięła na ręce.

— Bóg ci zapłać piękna panienko — rzekła matka i znikła jak cień.

Przestraszyła się królewna, woła, nikt nie odpowiada — głucho. Przyjęła maleństwa za swoje — i z wielkim trudem poszła dalej... Głodne dzieci zaczęły płakać, jagody nie mogły ich nasycić. Zaczęła śpiewać im piosnki, aż posnęły.

Idą lasem, idą polem, modli się królewna i prosi o radę. A wąż jej szepcze:

— Jam mądrość, słuchaj mnie. Nie oglądaj się na nic i na nikogo—tylko naprzód.

Spotkali na drodze wieśniaczkę z garnkiem mleka, która się ulitowała i napoiła niem dziatki.

Przyszli nad szeroką rzekę. Mostu niema, łódki nie widać.

Ale wilk wziął się na sposób, wszedł do wody i popłynął z trojgiem dzieci na drugą stronę rzeki — wrócił i królewnę na grzbiecie również przeprawił.

Znów idą, a tu przepaść. Nad przepaścią nitka pajęcza. Wilk siadł i powiada:

— Tu mój kres, tu siła już nic nie poradzi...

— Trzeba się wrócić—myśli królewna. Lecz głos węża szepcze:—naprzód, naprzód...

— Gdybym ptaszkiem była — zawołała — ptaszki pomóżcie mi!..

Zaszumiało w powietrzu, stado czyżyków przyfrunęło, każdy dziobkiem uchwycił za odzież, za włosy, i tak dzieci i królewna szły po cienkiej niteczce miłości, aż przeszły przepaść.

Zaczęły się ogromne góry. Idzie królewna jak może, dzieci piastuje i drogi szuka. Noc zapadała, nie noc, ale ciemność od jaskini, w którą weszli. Wtedy wąż zsunął się z jej ręki i rzekł:

— Pojdę naprzód oświecać drogę memi zielonemi oczyma mądrości...

Ciemno było i zimno, to w górę, to na dół trza było iść — dzieciom nóżki się krwawiły i wszystkie czepiały się jej ramion.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z TOWARZYSTWA HYGIENICZNEGO.

Na ostatniem zebraniu Towarzystwa w wydziale wychowawczym przedmiotem obrad były w dalszym ciągu sprawy kolonii letnich. Dr. Kramsztyk przedstawił w obszernem opracowaniu obraz rozwoju kolonii w Niemczech. W pierwszym roku istnienia Towarzystwa r. 1876 wysłano tam sposobem próby siedmioro dzieci—w r. 1896, a zatem w dwadzieścia lat cyfra ta doszła 300,000. Niemcy mają dzisiaj już centralne biuro kolonii letnich i za jego inicyatywą budują się tam domy własne, obmyśla plan działalności, gromadzi środki materyalne, wreszcie wydają się publikacye zwiększające fundusz rozporządzalny. Wszystkich lokalnych towarzystw kolonii letnich liczą obecnie Niemcy 176. Działalność instytucyi jest tam nader różnorodna, zastosowana do warunków, jakimi rozporządza każde pojedynczo wzięte miasto. Są tak zwane podkolonie, stanowiące rodzaj korpusów wakacyjnych, które zastosował Lwów u siebie w ostatnich czasach. Są ogrody dziecięce w obrębie miast, co do których dr. Markiewicz wyraża się, że dla nas są one rzeczą chybioną zupełnie i niema sobie niemi co głowy zaprzątać, albowiem wogóle Warszawa ogrodów, jak wiadomo, nie ma wcale. Za bardzo odpowiednie natomiast w naszych warunkach uważa dr. M. urządzenie osobnego rodzaju kolonij, w których dzieci wysyłane bywają w ciągu lata na całe pół dnia. W umówionych punktach, gdzie są wszystkie po temu warunki, dzieci mają dostatek świeżego, suchego powietrza, mleko zdrowe, no i rozumie się samo z siebie, dozór odpowiedni. Przy obecnej obfitości kolejek podjazdowych łączących Warszawę w wielu kierunkach z miejscowościami najściślej hygienicznemi, rzecz jest na gruncie naszym zupełnie wykonalna.

Najlepszym systemem jest, zdaniem wszystkich lekarzy hygienistów, urządzanie kolonii we własnych domach, budowanych wedle wskazań nauki na ten specyalny użytek. Do takich miejscowości nie robi się wypraw odległych; zmiany partyi dzieci wysyłanych następują po sobie szybciej i regularniej, bez takiego zamięszania, jakie spotykamy niejednokrotnie dzisiaj u nas. Takich domów dwa budować też będzie zarząd w roku bieżącym z zapisu ś. p. Wilhelma Raua. Koszt ich wyniesie około 30,000 rubli.

Była na zebraniu mowa i o tem, że u nas prowincya bardzo opieszale bierze się do zaprowadzenia u siebie wzorem Warszawy kolonii letnich; zrobiono wzmiankę, że dotąd naśladują Warszawę w tym względzie tylko Łódź, Radom, Lublin i Płock, inne zaś miasta ani pomyślały jeszcze o zajęciu się tą sprawą ważną. Zapewne, że na Łódź czas wielki, bo i ludność jej blizko czterokroćstotysięczna koniecznie się tego domaga, i zacieśnienie niektórych punktów jest niezmierne, a wogóle warunki hygieniczne najgorsze.

Łódź zatem powinna kolonie popierać wszelkimi środkami. O miastach tych rozmiarów, co nasze przeciętne gubernialne dużo dałoby się w tym względzie powiedzieć, ale w każdym razie o wiele mniej naglącą przedstawia się dla nich ta reforma. W mieście gubernialnem droga na świat szeroki zawsze niezbyt odległa dla dziecka, jak wszędzie, gdzie ludność 30 lub 40 tysięcy wogóle nie przekracza.

R—y.

MALARSTWO.

Słodko jest módz uciec od mętów rzeczywistości w świat ułudy, w „cudną krainę mar.“ Błogosławioną jest dłoń artysty, która zdoła przed zmęczonym wzrokiem człowieka odsłonić obszary fantazyi. Błogosławioną jest ta moc ducha ludzkiego, dzięki której oderwać się on może od szarzyzny codziennych trudów swoich, i skrzydłami wyobraźni bijąc powietrze, uleci „na gwiaździsty szlak.“

Malarz wiedeński A. Schram, z którego obrazami spotykamy się w obecnej chwili na wystawie Krywulta, ze świata fantazyi czerpie motywy do swoich prac. Niby echo baśni zasłyszanej w dzieciństwie, kołyszą nas jego pełne świeżości i wiosennego czaru pomysły.

Artysta zwrócił się do młodzieńczego okresu ludzkości. Gdy człowiek był jeszcze dzieckiem, śmiały się do niego zielone gaje wesołym śmiechem nimf, z nadmorskich skał dolatywał ku niemu śpiew syren czarodziejek, po jeziorach pląsały dlań boginki, cichym szmerem świeżo rozwitych liści szeptały doń dryady.

Dziś zestarzał się człowiek i posmutniał, i zmądrzał niby. Od czasu do czasu tylko ogląda się z tęsknotą za tą wiosną swoją...

Pójdźmy przypatrzeć się obrazom Schrama. W mglisty poranek wyległy syreny na skałę nadbrzeżną. Złośliwe czarodziejki zawodzą śpiew, bo oto tam we mgle dojrzały statek kołyszący się na falach. Te fale, te mgły, te skały, po których wieńce bluszczu się wiją, mają w sobie urok przyrody rzeczywistej i fantastyczny czar baśni.

Tak przejrzystej, tak promieniami światła nasiąkniętej, takiej prawdziwej mgły porannej nie widziałam dawno na żadnym obrazie. Fala pluszcząca o brzegi mokra się wydaje i chłodna chłodem poranku. Świeżością tchną wody i skała wilgotna, świeżością tchną mgliste przestwory.

Mistrzem jest Schram w malowaniu wody. Figlarne nimfy ciągnące starego satyra za rogi, by go przez zemstę skąpać w falach jeziora, przykuwają naszą uwagę na długo, i dają oczom pełne zadowolenie estetyczne. Młode ciała boginek są tak wdzięczne w swych naturalnych wygięciach, stary bożek leśny w opałach tyle ma w sobie komizmu, a zielony brzeg i przezrocze wody jeziora tyle prawdy i życia, że nie chce nam się porzucić tego obrazu, by przejść do innych.

A jednak w Salonie jest tym razem sporo rzeczy godnych widzenia.

Wspomnę jeszcze o kilku bardziej zajmujących pracach Schrama. Wnętrze kościoła Dei Frari w Wenecyi z kilkoma uroczemi twarzami jasnowłosych Wenecyanek—pastelowy portret kobiety w stroju z r. 1800, wyróżniają się śród innych — ten ostatni zwłaszcza bladym wdziękiem więdnącego kwiatu.

A teraz przejdźmy do pierwszej wystawy naszych monachijskich malarzy.

Dużo tu nazwisk mało lub zupełnie prawie nieznanych naszej publiczności — i dużo prac, którym krytyka fachowa przyzna zapewne niepospolite zalety.

Moją uwagę najbardziej zwróciły na siebie Feliksa Wygrzywalskiego: „Strażnik nocny" i Sotera Małachowskiego „W Sierpniu."

Nad rozpalonem ogniskiem grzeje robotnik zgrabiałe dłonie. Odblask ognia pada mu na twarz, na pomarszczone, wyrazem dobroduszności tchnące rysy. Świetnie udały się artyście efekta świetlne, na tle pomroki nocnej. Mamy złudzenie, że stoimy wobec rzeczywistości. Prawda przemawia do nas z obrazu potężną swoją wymową. Tak istotnie wyglądają ręce trzymane nad ogniskiem—taki blask rzuca płomień na twarz nachylonego nad nim człowieka—tak czerwono, gorąco płonie w nocy ognisko.

Krajobraz „W Sierpniu" powieszono za wysoko. Mimo niekorzystnego umieszczenia obraz chwyta widza, pociąga go znów wiernem odtworzeniem prawdy.

Między dwoma łankami złotokłosej pszenicy idzie miedza zielona. Krajobraz nasz swojski, lekko pagórkowaty, oblany ukośniej już nieco padającymi promieniami słońca. I to wszystko. Dodać tylko trzeba, że to słońce grzeje—że pszenica złoci się, miedza zieleni, że to wszystko jest przyrodą uchwyconą w całej prawdzie i prostocie swojej.

Jan Wysocki dał kilka wybornych portretów i parę płócien większego rozmiaru. Na jednem z nich widzimy piękną kobietę prawie nagą. Na śniade jej ciało padają krwawe blaski od zarzącej się kadzielnicy. U stóp leży bracząca krwią brodata głowa. Po tym szczególe poznajemy „Judytę." Z wyrazu twarzy bowiem nie odgadlibyśmy nigdy bohaterki judejskiej. To kobieta łagodna i piękna, bolejąca i przerażona. Mamy wrażenie, że to, co się stało, stało się poza nią, mimo niej. Może sądził artysta, że w chwilę po dokonanym czynie uczucie zemsty i nienawiści zgasło w sercu zabójczyni, a zastąpiły je zgroza i żal. Może rozumiał, że *przeznaczenie* z właściwości rasy i wpływów otoczenia zrodzone—kierowało ręką pięknej Semitki bez udziału jej świadomości, bez udziału jej duszy — a może nie zajmował się tak wiele psychologią Judyty—gdyż chodziło mu raczej o te blaski czerwone przeglądające się w jej gładkiem, jak z bronzu lanem ciele i w strugach krwi na posadzce. Te blaski są piękne i tragiczną purpurą stroją legendową postać kobiety.

Tego samego artysty „Objawienie" stanowi jako pomysł dosyć trudną rozwiązania zagadkę. Malarze monachijscy wogóle nie bawią się w łączenie literatury z malarstwem — tu jednak jest widocznie jakaś literacka treść nie dosyć jasno wyrażona przez artystę. Widzimy wybrzeże morskie — nad niem wysokie skały stopniami wznoszące się ku górze. Bliższe plany obrazu w cieniu — dalej na morze pada, jak się zdaje, światło poranku. Krajobraz ładny, oryginalny—rozłożenie świateł imponujące. Ale do skały przylepiona bolesna, rozkrzyżowana postać Chrystusa—postaś płaska, nieestetyczna, psuje wrażenie krajobrazu. Nie wiem komu i co *objawiono* tutaj. Czuję tylko, że mnie nie objawiono znaczenia tego Chrystusa i wogóle treści obrazu.

Wśród prac nadesłanych z Monachium wyróżniamy jeszcze pełną wyrazu „Bezdomną" Radziejowskiego i „Przodownicę"—Małachowskiego „Burzę morską" — Krzyżanowskiego „Portret własny."

Poza pracami tego koleżeńskiego grona spotykamy na wystawie kilka zajmujących rzeczy.

Pomiędzy innemi zaliczyć do nich wypadnie biust Szczepanika wykonany przez Lewandowskiego. Rysy sławnego wynalazcy dość pospolite, tylko bystry wyraz oczu znamionuje niezwykłe zdolności, a silnie rozwinięta broda potężny zasób energii. Biust ten ma w sobie dużo życia.

„Błędny ognik" Z. Andrychiewicza należy do rzeczy dosyć oryginalnych w pomyśle. Wśród czerwonych blasków, niby we wnętrzu płomyka unosi się kobieta-boginka o złośliwym i brzydkim wyrazie twarzy. Nad głową pali jej się śliczny zielony płomyczek. Te płomyki znakomicie udały się artyście—płoną, to czerwonem jaskrawem, silnem, to znów zielonawem, tajemniczem światłem. Za to ciału kobiety brak życia. Blade, nie zaróżowione odblaskiem tych płomieni, które palą się dokoła, robi wrażenie nie rzeczywistego ciała i nie utkanego z płomieni, jakiemi właściwie powinnoby być, gdyby artysta chciał w pomyśle konsekwentnym pozostać—lecz masy woskowej. Wrażenie ogólne obrazu zyskałoby też, gdyby bogince inną dano twarz. Mogłaby mieć wyraz zagadkowy, niepokojący, smutny, zmysłowy. lub wreszcie jakikolwiek — ale nie cyniczny i nie taki brzydki bezwzględnie, jakim podobało się artyście wyposażyć tę duszę błędnego ognika.

H. C.

Z piśmiennictw obcych.

Wiernie odbija się w piśmiennictwie europejskiem obecny nastrój umysłów. Przeglądy tygodniowe i miesięczne reprodukują wszędzie to, co niesie ze sobą fala życia współczesnego, a więc drga już w publicystyce francuzkiej przedwystawowa gorączka w całym rozwoju, a poza wystawą i jej sprawami notować można tu i owdzie echa dawniejszych waśni i starych namiętności, które niejeden już uważał, jeśli nie za pogrzebane, to przynajmniej za przybladłe i milknące. W „Grande Revue" rozbiera jeszcze Józef Rejnach źródła i przyczyny, z których wyszedł proces Dreyfusa, przyczem nie szczędzi czernidła generałowi Mercier, który w istocie dobrą sławą swoją większą część kosztów tej kampanii opłacił.

Przeglądy angielskie, hollenderskie i belgijskie, każde stosownie do swego punktu zapatrywania, a przedewszystkiem zgodnie z interesem własnym, zajmują się wojną Transwaalską, spełzłemi rokowaniami pokojowemi i domniemanemi powikłaniami, jakie z niej dla spokoju świata wyniknąć mogą w przyszłości.

Niemcy z ich literaturą całą przedstawiają najciekawsze może widowisko—ciekawe i przykre niewypowiedzianie dla tych mianowicie, którzy oceniali jak należy wielki cywilizacyjny dorobek przysporzony światu przez ducha niemieckiego. Jacyż bo oni zmienieni w istocie—zmienieni do niepoznania! Ani poezyi, ani belletrystyki, ani śladów myśli humanitarnych—duch koszarowy pożarł zdaje się wszystko, i stoją dziś ci ludzie ze swoją gotowością bojową, rzucając niespokojnym wzrokiem po globie ziemskim, jak gdyby upatrywali w kogo najpierw szpony zatopić mają.

Przypomina mi to pewien wielce charakterystyczny epizod.

Było to w roku 1864. W akademii sztuk pięknych w Monachium wystawił Kaulbach swoją symboliczną Germanię, która tyle narobiła w owym czasie wrzawy w świecie artystycznym, a i nie artystycznym nawet. Traf usłużył mi, że wprowadzony przez kilku znajomych artystów do pracowni mistrza, oglądałem dzieło, i usłyszeć miałem komentarz z ust samego artysty, który dowiedziawszy się, że jest w pracowni kilku cudzoziemców, raczył ukazać się sam. Nie byłem nigdy szczególnym znawcą w rzeczach sztuki, i dlatego być może „Germania" nie zrobiła na mnie wrażenia takiego, jak na innych, a w żadnym razie takiego, jakie ztamtąd wynosił podówczas Niemiec każdy. Ta jasnowłosa i niebieskooka, dobrze zbudowana i doskonale odżywiona niewiasta, do nas, ludzi północy, odmiennych zupełnie upodobań estetycznych, i nawykłych do całkiem odmiennego typu kobiecości, nie przemawiała wcale. Słysząc w każdym razie najpochlebniejsze zdania znawców o rysunku, kolorycie, kompozycyi etc., uspokojeni nadto samą powagą imienia autora obrazu, patrzyliśmy na to płótno jako na dzieło conajmniej nieposzlakowanej poprawności. Wkrótce ukazał się i sam maestro i ten dopiero zaczął nam tłómaczyć głębię symboliki, jaką przedstawiała ta jego Minerwa Teutońska. Bo Minerwą, a nie czem innem chciał ją mieć artysta—zamierzył ją pokazać światu taką, jaką w danym momencie dziejowym była istotnie. „Oto patrzcie panowie, mówił Kaulbach, jaka ona zagłębiona cała w tem, co ma przed sobą! Czyta „Kosmos," a na miecz swój schowany w pochwie nie zwraca nawet uwagi. Ale ona się przebudzi, ona odłoży tę księgę, i potrząśnie mieczem, a wówczas zadziwi się świat cały potędze tego miecza, tak jak dzisiaj skłania głowę przed jej mądrością"

Wyprorokował. Wyprorokował niestety, a nawet nie trudno mu było stawić ten horoskop, bo pierwsze szczęki tego miecza już się rozlegały wtedy pod Düppelskimi szańcami. Wyprorokował i zadziwił się świat cały, ale podziw a uwielbienie, to wcale nie jednoznaczne pojęcia. Dużo krwi obcej rozlał ten miecz, dużo sumień w łonie własnego narodu znieprawił, wiele uczuć i szlachetnych ogólno-

ludzkich pragnień zmroził, a nawet do zaniku doprowadził zupełnego w narodzie niemieckim. Jak te Niemcy traktują dzisiaj pierwszorzędne zagadnienia etyczne — jak oni się rozprawiają z najważniejszemi kwestyami społecznego znaczenia — oczom swoim doprawdy nie chce uwierzyć nieraz czytający. Małą próbkę tego nastroju aktualnego, w jakim grzęźnie duch niemiecki — małą, ale wielce charakterystyczną podaje nam „Literarische Echo" z dnia 15 Lutego. W piśmie tem znajdujemy krytyczny rozbiór jednego z bardzo poczytnych romansów, który ukazał się w ostatnich czasach. Różne są sądy krytyki co do artystycznej strony tej powieści i przeprowadzenia akcyi samej, ale szlachetność tendencyi i żywotność wielka założenia wogóle, kwestyonowaną nie jest, bo raz stanąwszy na pewnym poziomie etycznym, obowiązującym każdą bez wyjątku społeczność cywilizowaną, ani bagatelizować takich rozstrzygnięć, ani tembardziej potępiać moralności takich założeń nie godzi się.

Ale co to w naszych czasach znaczy: *godzi się albo nie godzi!*

Kto chce zrozumieć, że wszystko się godzi, co jest zgodne z interesem, namiętnością albo szaleństwem chwili, niechaj posłucha streszczonych zapatrywań tego właśnie p. Edgara Steigera, który w „Literarische Echo" rozprawia się ze wzmiankowaną pracą. Mowa tam jest o konieczności zastąpienia dzisiejszego ustawodawstwa karnego przez inne zgodniejsze z duchem ewangelii, a jako wskazania stawia autor:

1) Nie zabijaj, ani doprowadzaj do gniewu bliźniego twego — 2) Zachowaj czystość ciała zarówno jak duszy — więc nie uwódź żadnej kobiety, a tej z którą się raz na zawsze złączyłeś pozostań wiernym — 3) Nie gwałć żadnego rodzaju przysięgi — 4) Jeśliś uderzony, nadstaw po Chrystusowemu policzek — 5) Kochaj i wspomagaj nieprzyjaciół swoich.

Oto treść doktryny, z którą zamaszyście rozprawia się p. Steiger, określiwszy zwięźle a dobitnie, że ta nauka nikogo z pewnością nie nawróci.

Nikogo—jestto powiedzieć zbyt śmiało, a jeśli się mówi w imię zbiorowości pewnej, jestto zbyt cynicznie. Odbiegliśmy od źródła nauki nietylko czynem, ale słowem nawet — to jest fakt, i dlatego zasadom tym w zakresie przewidywań ludzkich rychłego zwycięztwa wróżyć nie będzie ten, kto się dobrze rozgląda dokoła, choćby tylko ze społeczności żyjącej w państwie bojaźni Bożej biorąc miarę. Ale żeby postawić jako pewnik, że to nie jest zasada—nie cel—nie ideał, ku któremu ludzkość zmierzać powinna, jestto zaprzeczyć wszystkim naraz podstawowym prawdom, które dotąd przyświecały światu.

Tak w istocie wygląda cała ta Germania, która zamknąwszy księgę Humboldta, wydobyła swój miecz Arminiuszowy. Pan Steiger jest mężem miarodajnym.

W „Revue des deux Mondes" z 1 Marca r. b. Piotr de Nolhac pomieścił studyum swoje o małżeństwie Maryi Leszczyńskiej z Ludwikiem XV-ym. Nie powiada nam autor wcale o źródłach historycznych, z których czerpał materyały do swojej pracy, ale z mocnem przeświadczeniem zbija to, co nazywa legendą utworzoną dokoła postaci ojca królowej francuzkiej. Nie był on, zdaniem jego, ani bohaterem bezinteresownym, jakim go zrobiły umysły współczesnych biografów, ani nawet filantropem w polityce. (Co znaczy ten termin ostatni—nie wiemy). Nowe dokumenty przedstawiają go owszem jako człowieka z jednej strony trawionego ambicyą wygórowaną, z drugiej pozbawionego zupełnie darów mogących usprawiedliwić takie aspiracye. Nie można mu jednakże odmówić, powiada autor, subtelnej zacności charakteru, umysłu udoskonalonego przez naukę — wogóle przymiotów obywatelskich całkowicie wybitnych. Wychodzą tu na jaw w sprawie skojarzenia tego małżeństwa intrygi pani de Prie. Szczegóły, drobiazgi, zakulisowe sprawy illustrują ten epizod, w którym nie zaniedbano podkreślić kłopotów materyalnych przyszłej królowej—kłopotów dochodzących aż do niedostatku garderoby. Robi to wogóle wrażenie, jak gdyby zbyt wiele plotkarstwa włożono w ramy monografii, w której może być wszystko autentycznem, aż do braku bielizny, na jaki cierpiała ex-królewna, a podówczas księżniczka Lotaryngii i Baru, ale w której duch społeczności, z której ona wyszła, zupełnie pozostać musiał dla autora, a tem samem i dla jego czytelników, obcym i niedostępnym.

W „Bibliotece Powszechnej" (Bibliotéque Universelle) z Marca znajdujemy krytyczne studyum znanego pisarza Pawła Stopfera zatytułowane: „Les lois de l'imagination poetique et satirique de Victor Hugo." Dużo tam uwag słusznych, ale sporo i takiego sądu, który odpowiada zupełnie dzisiejszym na istotę twórczości literackiej zapatrywaniom. Zaznacza autor naprzykład, że brak humoru, to jeden z wybitnych niedostatków, jaki można temu pisarzowi postawić. „Victor Hugo, powiada, nie zna siebie, nie sądzi się sam, nie zstępuje nigdy z trójnoga, i nie pozwala sobie nigdy pożartować z własnej osoby. Zawsze celebruje pontyfikalnie."

Wydaje się, jakoby duchowi dzisiejszemu nieodbicie potrzebną była na głowie wszelkiej czapeczka trefnisia, bez której i człowiek, i autor wydaje się człowiekiem i autorem niezupełnym, albo co gorsza i co błędniejsza — nie szczerym. Dlaczego ty człowieku wielki, zdaje się mówić ten duch, nie bywasz od czasu do czasu małym, choćby tylko dla zrobienia nam przyjemności—choćby dlatego, żebyś na jedną małą chwilkę raczył zharmonizować się z nami?

Dużo możnaby odpowiedzieć na takie zarzuty, a odpowiedź ta musiałaby koniecznie przyczynić się do zcharakteryzowania różnicy, zarówno między twórczością Victora Hugo, a jego następców — jak między epoką jego, a tą, którą my przeżywamy. Razi nas dzisiaj powaga, i nie możemy w żaden sposób uwierzyć, żeby ona jakimś nieodbitym była czynnikiem w życiu tych, którzy nas poprzedzili.

Była i dawniej satyra, był humor— było to wszystko i pod one czasy, tylko nie jeden i ten sam człowiek bywał satyrykiem, humorystą i kaznodzieją. Wogóle świątynia była świątynią, a o zamienianiu teatru i estrady w kazalnicę i vice-versa nie myślano wtedy tyle co dzisiaj.

A. S.

Głód w Indyach.

Jeszcze nie przebrzmiały wstrząsające sprawozdania wszechświatowego dziennikarstwa o wielkim głodzie, jaki nawiedził w roku 1897 Indye Wschodnie, a już nieszczęśliwy ten kraj staje się ponownie widownią takich samych jeśli nie gorszych jeszcze, zniszczeń w roku bieżącym.

Dziwi się Europa, że ziemia słynna z bogactw tysiąca i jednej nocy, że kraj posiadający wegetacyę zwrotnikową i nieprzebrane skarby w królestwie mineralnem, roślinnem i zwierzęcem, może cierpieć na tak częste klęski głodowe, a jeszcze bardziej dziwnem się wydaje, że naród przodujący w cywilizacyi, który tą ziemią owładnął i dał jej swoje prawa i ulepszoną niby administracyę, nie może na takie niedomaganie wynaleźć środka stanowczego i pozwala milionom całym ludzi wymierać w najcięższych katuszach przy każdym nieurodzaju, który niestety zbyt często powtarzać się zaczyna w tych czasach.

Świat oskarża Anglię, Anglicy przeto usprawiedliwiają się jak mogą i umieją. Posłuchajmy tych usprawiedliwień.

Informacye angielskie starają się przekonać społeczeństwa cywilizowane, że głód w Indyach jest nieuniknionym, i że są trzy kardynalne przyczyny, które nie dopuszczają stanowczo zapobiedz tej klęsce, mianowicie: klimat, zaludnienie i obszar terytoryalny.

Co do klimatu jest on tam wyjątkowo suchy; Indye mają porę deszczów krótką i decydującą stanowczo, tak, że gdy ta nie przejdzie pomyślnie, nic już w następstwie nieurodzajowi zbóż i traw nie zaradzi. Ile razy ilość opadów wody w miesiącach Sierpniu i Wrześniu okaże się niższą od normalnej, tylekroć niedobór w plonach jest nieunikniony— zależny w każdym razie od stopnia braku wilgoci, którym się rok odznacza. Dlatego też głód nigdy nie jest niespodzianką w tym kraju — owszem jak tylko pora deszczów nie zasiliła ziemi na rok nadchodzący, ludność wie co ją oczekuje.

Dalej twierdzą Anglicy, że ludność Indyj Wschodnich stoi na bardzo nizkim poziomie cywilizacyi a w sprawie rolnictwa posiłkuje się tą samą metodą uprawy, i używa tych samych narzędzi gospodarskich, co przed wiekami. Zresztą wyznanie samo wyrobiło tu w człowieku martwy stoicyzm, który mu pozwala cierpieć, a nawet oko w oko patrzeć śmierci bez zmarszczenia, ale nie dopuszcza przewidywań żadnych i zabiegliwości—wogóle inicyatywy jakiejkolwiek. Z dobrodziejstw oświaty Indus nietylko że nie korzysta skwapliwie, ale się względem nich zachowuje odpornie. Umie umrzeć ze spokojem, ale więcej nie umie nic.

Z terytoryalnego punktu zapatrując się na tę sprawę, twierdzą że zbyt wiele jest tak odległych przestrzeni, do których nie dochodzą drogi żelazne, i dzięki temu też, jak powiadają Anglicy, takim prowincyom gdy je nawiedzi klęska głodowa, w żaden sposób przyjść z pomocą nie można. Rzek spławnych w tym

kraju, niema jak wiadomo wiele, bo gdyby były, toż przecie i susze takie jakie są, byłyby niemożebne, a zatem gdy nie sposób wodą ani drogą żelazną, to na osiach dla milionów głodnych zapasów zboża przez setki mil nie przeprowadzi żadna siła pociągowa. Ludność rozpierzcha się tedy po lasach, ale i tu z powodu suszy o pokarm, jaki przyroda zapewnia darmo pod tą szerokością geograficzną, trudno jest bardzo.

W roku bieżącym takich, którzy żyją miłosierdziem publicznem, albo ofiarami rządu, liczy się cztery miliony z górą. Aby sobie o przypuszczalnym stopniu panującej tam śmiertelności stworzyć należyte pojęcie, wziąść należy przedewszystkiem pod uwagę, że dotknięte brakiem pożywienia klasy ubogie cierpią niedostatek chroniczny, że są to organizmy ludzkie nawet w latach względnej pomyślności nienależycie odżywiane, że zatem w latach takich jak obecne, gdy im się zmniejszy jeszcze te ich szczupłe racye pożywienia, giną one z wycieńczenia bardzo szybko. Okropne wrażenie robią te szkielety ludzkie reprodukowane fotograficznie po wszystkich illustracyach europejskich, trudno też jest uwierzyć, aby ta przechwalająca się ciągle swojemi dobroczynnemi odkryciami i wynalazkami społeczność angielska, mogła być tak bezradną jak się to okazuje w praktyce.

Nie brak też i zarzutów pod adresem Anglii i jej systemu rządzenia Indyami. Powiadają przeciwnicy, że Indye przed inwazyą angielską nie doświadczały takich głodów jak obecnie, że nie są Indusi tak złymi rolnikami, ani tak opornymi postępowi, jak to starają się wmówić światu dzisiejsi ich panowie. Wzmiankują naprzykład, że miały Indye nader kunsztowną sieć irygacyjną, która ich zaopatrywała w wodę na lata suche i że to nawodnienie zarzucone zostało dopiero przez rząd W. Brytanii, albowiem było kosztowne i pozbawiłoby metropolię znacznej części dochodów, na które jak wiadomo dosyć się czuli mimo wszystkiego bezinteresowni cywilizatorowie i posiadacze Indyi. Co zaś do trudności transportowania żywności w odległe prowincye dotknięte głodem, o tych niema co właściwie mówić wobec samych informacyi angielskich, twierdzących, iż głód nigdy nie jest w Indyach niespodzianką, i że owszem na kilka miesięcy przed zbiorami wiedzieć można czy będzie panował lub nie. Kto ma przed sobą czas, ten ma radę, byle mógł, umiał, a nadewszystko byle chciał.

Otóż co do tego ostatniego świat cały żywi nader poważne wątpliwości.

Zresztą wszystkie na niekorzyść Indusów tworzone w Anglii charakterystyki mają względną tylko wartość. Po nad całem położeniem dominuje fakt niezbity, że opodatkowanie w tym kraju jest kolosalne, i co rzecz obciąża niezmiernie, że to opodatkowanie jest nieprodukcyjne. Mają też Indye i wielomiliardowy dług publiczny, do którego przyszli niewiadomo jakim sposobem — przynajmniej im nie wiadomo z pewnością.

R.

PO KATASTROFIE!

Na coś przecie ludziom przydać się musi nieszczęście — tak przynajmniej powiadają optymiści. Jeśli po każdem tego rodzaju tragicznem ostrzeżeniu, jakie daje klęska podobna do ostatniej zaszłej w Paryżu w bieżącym miesiącu, ludzie więcej radzą o zabezpieczeniu się na przyszłość i szczerzej się przejmują zadaniem, jakie wkłada odpowiedzialność przed ogółem, to jużciż zapewne, że jest jakiś pożytek ze zniszczeń i kataklizmów nawet, ale kosztowne są w każdym razie lekcye takie.

I dziś po świeżym pożarze teatru Francuzkiego śpieszy kto żyw z radą, poczynając od ludzi nauki, na biegłych w sprawach administracyi miejskiej i dziennikarzach skończywszy. Dyrektor naprzykład specyalnej szkoły budownictwa p. Tralot tak mówi o zabezpieczeniu na przyszłość teatrów i sal koncertowych.

„Od lat trzynastu zrobiliśmy w sprawie ochrony od ognia wielki krok naprzód. W r. 1887 po spaleniu się opery komicznej słusznie mówił Berthelot, że tam gdzie teatr, tam pożar możebny w każdej chwili; obecnie gdy gaz wypartym został w większej części przez elektryczność, można powiedzieć, że bezpieczeństwo zwiększyło się o połowę. Dzisiaj wszakże, równie jak dawniej, dekoracye, stalugi, kulisy—jednem słowem płótno i drzewo stanowią przedmioty najbardziej palne i w istocie, w tym stopniu wysuszonej tkaninie i materyałowi drzewnemu dosyć jednej iskierki do wywołania płomienia. Otóż uczyniwszy te przedmioty albo niepalnymi całkowicie, albo przynajmniej trudno zapalnymi, zażegnalibyśmy resztę niebezpieczeństwa. Uczynić niepalnem drzewo lub płótno, znaczy to nasycić je substancyami zupełnie odpornemi na ogień, jestto jednakże sposób mozolny i kosztowny. Przerabiać odrazu te wszystkie utensylia teatralne znaczyłoby to wykładać sumy olbrzymie, praktyczni zatem rzeczoznawcy, liczący się z wydatkiem, radzą, aby nie przerabiając całego inwentarza tych sprzętów, zabezpieczać w ten sposób każdy nowy artykuł przybywający, przez co w krótkim czasie całe niebezpieczeństwo usuniętem zostanie.“

Gdzieindziej zgoła dopatruje przyczyn złego i odmiennej zupełnie natury środki zaradcze podaje w tej sprawie p. A. W. naczelny inżynier marynarki francuzkiej. Ten znowu utrzymuje, że większa lub mniejsza zapalność materyału zapełniającego scenę wpływa na stopień niebezpieczeństwa, ale nie decyduje o niem bynajmniej stanowczo, albowiem wszystko to jest lekkie, małej objętości i przy zapuszczaniu natychmiastowem kurtyny żelaznej, a przytomnem wycofaniu się ze sceny personelu teatralnego, pożar w kilka minut powinien być umiejscowionym, a w kilkanaście stłumionym zupełnie. Idzie tylko o to, aby komenda pożarna działała błyskawicznie, akuratnie, a iżby tak działać mogła, mechanizm ratunkowy rozmieszczonym być powinien w ten sposob, aby to działanie samo było w wykonaniu możebnem.

Jakże jest dzisiaj? Scena jest ubezpieczona i dobrze nawet ubezpieczona, bo i wodociągi, i zbiorniki i mechanizm do spuszczenia kurtyny istnieją i funkcyonują wybornie. Funkcyonują ale na próbach tylko. Dlaczego? Oto dlatego właśnie, że ten cały aparat bezpieczeństwa znajduje się tuż przy samej scenie. Niechajże dadzą sygnał alarmowy naprawdę, mechanicy i pompierzy wśród ogólnego popłochu nie dostoją na tym punkcie najbardziej zagrożonym, co wreszcie każdy wyrozumieć powinien. Rozbiega się wszystko co żyje — oni mają zostać sami — zostać na śmierć niechybną prawie, i wobec niej manewrować przyrządem ratunkowym wtedy, gdy im płomienie odwrót przecinają, albo już przecięły. Nie trzeba, powiada p. A. W., żądać niepodobieństw od człowieka.

Jako przykład służyć powinny, zdaniem tego uczonego urządzenia praktykowane w marynarce. Niebezpieczeństwo jest tam o wiele większe, niż w teatrach, bo są i machiny parowe i substancye wybuchowe, i wszystko co grozi pożarem, a dlatego potylekroć razy wszczęty pożar daje się stłumić w zarodku, dzięki temu jedynie, że komenda ratunkowa rozmieszczona jest zdala od miejsc najbardziej zagrożonych. Zróbcie, powiada, to samo w teatrze. Urządźcie odpowiednią transmisyę i właściwe sygnały alarmowe, ale personel ratunkowy postawcie w ubikacyach względnie bezpiecznych, choćby nawet w przedsionku samym. Pocisnąć guzik zapuszczający natychmiast kurtynę, inny otwierający zbiorniki, lub rzucający massy wody tam, gdzie ona najpotrzebniejsza—na to dosyć jednej chwili, ale tę chwilę koniecznie mieć trzeba. Inaczej stanie się zawsze tak, jak się właśnie stało w teatrze Francuzkim, to jest, że nikt nie spełni tego, co do niego należało. Ostatecznie faktem jest, że rezerwoary nie były tam otwarte i że nie przedsięwzięto nic zgoła z tego, co spełnionem być winno w takim wypadku.

Przeciwko nasycaniu dekoracyj i stalug chemikaliami antypalnemi, oświadcza się p. A. W. stanowczo, albowiem manipulacya ta nigdzie jeszcze w zastosowaniu nie dała rezultatów pozytywnych. Olbrzymi dom, który przed laty kilku spłonął w Chicago znany był z tego nasycenia wszystkim, i wiele o tem mówiono, a dlatego spalił się od poddasza do piwnic na popiół.

Mówiąc o środkach bezpieczeństwa, zapewne gwoli pociechy tych wszystkich, których z ofiarami pożarów łączyły węzły blizkie, nie zapomina publicysta francuzki objaśnić publiczności, jak się to zwykle dzieje z tymi, którzy w płomieniach śmierć znajdują. Powszechne jest mniemanie, że śmierć taka należy do najstraszniejszych. Otóż przypuszczenie takie mylnem jest podobno z gruntu. Świadomi rzeczy utrzymują, że w 9 wypadkach na 10, dla ofiar takich wszystko kończy się w ciągu kilku sekund. Ani to jest śmierć z poparzenia, ani nawet asphyxia żadna dymem, a natomiast pewnik niezbity stanowi to, że ofiara pożaru umiera poprostu na skutek zatrucia gazami zabójczymi, i że śmierć tego rodzaju jest wprost piorunującą. O męczeństwie niema tam co mówić, bo na żadne męczeństwo niema czasu. Zwęglone ciała, otwarte czaszki, strasznego wyrazu spojrzenia

w niedotrawionych przez płomienie twarzach, to już tylko skutki pastwienia się żywiołu nad istotami nieżyjącemi. Wtedy gdy patrzący z zewnątrz palącego się budynku drżą i szaleją ze zgrozy, wtedy w budynku samym z żywotami ludzkimi skończone na zawsze. Gdy się sypią iskry, wali dym oknami, gdy zapadają się sufity, wtenczas ci, co tam byli, pomarli oddawna. Gaz wywiązujący się w każdym bez wyjątku pożarze jest tak trującym, że 1 część jego zmięszana ze 100 częściami powietrza, którem oddychamy normalnie, wystarczyłaby do natychmiastowego zabicia najsilniejszej jednostki ludzkiej.

Niechaj będzie co chce, ale jest w tem okropnem zapewnieniu pewna pociecha!

K.

JULIUSZ ZEYER.

Na pograniczu obcych światów.

przełożył MIRIAM.

(Dalszy ciąg).

— Zrobiłaś bardzo dobrze — odpowiedziałem—pójdziemy jutro znowu do galeryi.

— Nie mam wprawdzie woli własnej i chętnie słucham cię we wszystkiem — odparła — ale pragnęłabym bardzo już dziś wieczorem odjechać z powrotem do Czech.

— A to dlaczego?

— Wiesz przecie, ze względu na ojca. Radabym widzieć go jeszcze przed odjazdem. Trzeba tedy się śpieszyć, bo wiem dobrze, a i ty zapewne jesteś tego przekonania, że się gwoli mnie ani pół godziny dłużej w Czechach nie zatrzyma, niż postanowił.

— Dobrze, odjedziemy. Ale czemu ta niepewność, ta trwożliwość, to zrzekanie się własnej woli w rozmowie ze mną, Floro?

— Ach, cóż ci na tem zależy? Stare przyzwyczajenie! Zresztą, czyliż nie godzi się ten szacunek dla pana domu, to wyraźne ustępowanie głowie rodziny z twymi poglądami na małżeństwo?

— Jak ci się spodoba—odpowiedziałem sucho. — Mały wyrzut — ciągnąłem dalej wewnętrznie.—Chce zachowaniem swem zmusić mnie do większej czułości, a to posłuszeństwo na pokaz jest też objawem dobrze obmyślanej taktyki. Ale nie jestem dość prostoduszny, aby się dać złapać na to i jakiejkolwiek dopuścić niekonsekwencyi. Każdą słabość przypłaca się jarzmem, a ja nie mam bynajmniej ochoty uginać karku.

Flora nie okazała żadnego zawodu z powodu zimnej mej odpowiedzi, szczebiotała dość wesoło podczas przechadzki po tarasie brühlowskim i śmiała się z mych uwag o niesmacznem ubieraniu się Niemek i o niezgrabności ich ruchów. Wieczorem wyjechaliśmy.

Florze spodobał się stary nasz dom niezmiernie. Powiedziałem jej, że przygotowałem go tylko tymczasowo na jej przyjęcie, przyprowadziwszy jako tako do porządku stare urządzenie i stare meble, ponieważ chciałem, aby sama o nowych, nieodzownie potrzebnych postanowiła rzeczach. Ale Flora nie chciała słyszeć o żadnej zmianie; przyznała się, że jej te starodawne formy sprzętów i te jak gdyby uświęcone przez wiek zasłony i kobierce poprostu imponują. Lekkie, wdzięczne jej kroki brzmiały jak kroki wieszczek po długich korytarzach, pełna czaru jej postać odbijała się w staromodnych zwierciadłach, jak kwiat nadbrzeżny w fali rzecznej, a obecność jej cała była jako promyk słoneczny pod mroczną strzechą mych ojców. Zabrała się zaraz do urządzenia pokoju, który gotowała na przyjazd Frydeckiego, naznosiła tam kwiatów, co się tylko w wazonach zmieściło i zostawiła w ten sposób barwny ślad poetycznej swojej istoty.

Pojechaliśmy na spotkanie Frydeckiego na stacyę. Flora była głęboko wzruszona. Nie dzieliła się ze mną myślami, odgadłem sam, iż żywi nadzieję, że ojciec po dłuższem z nią rozłączeniu i przy spotkaniu ponownem, jakieś gorętsze okaże uczucie, niż miewał we zwyczaju — ale zawiodła się biedaczka zupełnie. Frydecki był w złym humorze, i zimny, roztargniony, jak zwykle. Nie odpowiedział ani na połowę jej pytań o zdrowie; a biedna Flora zrezygnowała się wreszcie na milczenie i wtuliła się smutnie w kącik powozu. Frydecki wypytywał o godziny odjazdu wszystkich możliwych pociągów, oraz o połączenia ich z innemi drogami żelaznemi, ku wielkim dążącemi miastom.

— Mówisz, teściu — rzuciłem — jak gdybyś miał zamiar zaraz dalej jechać, a u nas ot tak tylko, przez jedną noc się zatrzymać?

— Bo też nie będzie inaczej—odpowiedział—cóżbym tu u was robił? Wiesz, że śpieszę się bardzo. I nie byłbym nawet do tego zapomnianego, zaprzepaszczonego kąta waszego przyjechał, gdybym nie musiał z tobą o ważnej pomówić rzeczy.

— Gdybym to był wiedział—rzekłem—byłbym ci tej niewygodnej oszczędził drogi i sam zajechał do ciebie.

— Ale zapominasz chłopcze, że chodzi także o spadek.

— O jaki spadek? — spytałem ze zdziwieniem.

— Przypomnij-że sobie, że biblioteka twego ojca, tak jak jest w całości należy do mnie. Nie wezmę jej naturalnie z sobą w podróż — ale to i owo sobie tam jednak wyszukam. Zobaczysz co.

Byłem bardzo zaintrygowany, po co właściwie Frydecki drogę w nasze góry przedsięwziął, ale nie okazałem żadnej ciekawości, ani chęci dowiedzenia się jakichś bliższych szczegółów. Całą dalszą drogę odbyliśmy prawie w milczeniu, każde we własnych pogrążone myślach. Zmierzchało się już, gdyśmy dojechali i światła domu mile powitały nas we mgle, która gęstemi oponami z gór spuszczać się zaczęła. Frydecki usiadł po przyjeździe przed ogniem, a zaraz po wieczerzy wstał i zażądał kluczy od biblioteki, które w swoim pokoju dobrze miałem schowane. Skinął na mnie, abym mu towarzyszył. W ciasnej tej komnacie było bardzo duszno, otworzyłem tedy okno i wpuściłem do biblioteki nieco świeżego jesiennego powietrza, w którego przeciągu długie wązkie płomyki starodawnej żelaznej, ze stropu zwisającej lampy, niespokojnie się zakołysały i dziwaczne, co chwila różne cienie na ściany wokół miotać jęły, co podnosiło jeszcze tajemniczość niezwykłego tego pokoju. Frydecki otwierał przegródki i szuflady, przeglądał tam papiery i notaty wszelkiego rodzaju, a ja śledziłem ze zdumieniem każdy jego krok. Nagle zatrzymał się niedaleko okna. W pokoju zabrzmiał ostry dźwięk jak gdyby szybko rozprężającej się sprężyny stalowej, i z niemałym podziwem ujrzałem nagle otwierajece się, zupełnie przedtem nieznane mi drzwiczki w starożytnej boazeryi, obiegającej dokoła głęboką niszę okienną. Była to jak gdyby ze trzy stopy wysoka szafka, napełniona dziwacznymi przyrządami jakichś niewidzianych kształtów. Stały tam całe szeregi częścią szklanych, częścią metalowych naczyniek i mnóstwo jak gdyby z kryształu wyrobionych flakonów, po części próżnych, po części rozmaitemi napełnionych cieczami. Z tych jedna zwłaszcza uderzająco zwracała uwagę; była zupełnie bezbarwna, ale połyskiwała srebrzystym blaskiem jakiegoś niezwykłego, nieznanego odcienia światłości. Zdawało się, że nieustannie porusza się w krysztale i ciągle małe na powierzchnię wyrzuca bańki. Flakon był hermetycznie zamknięty, a czarny, tajemniczy jakiś znak uderzał oko na krysztale.

— Co to jest?—zapytałem wreszcie.

— Po ten flakon przyjechałem do ciebie — odpowiedział Frydecki, patrząc nań ze czcią wyraźną, i nawpół wygasłe jego oczy zabłysły uderzająco. — Przedziwna ta ciecz, podobnie jak ten cały szereg innych, jest owocem mozolnych, wytrwałych badań, które całe zajęły życie. Jest to praca wielkiego, sławnego człowieka—twego ojca.

Słaby uśmiech rozgościł mi się mimowoli na ustach, i tylko przez cześć dla zmarłego usiłowałem go stłumić.

— Jest to zapewne eliksir życia, albo kamień mądrości w postaci płynnej?—spytałem żartobliwie.

— Nierozsądny chłopcze!—zawołał ze wzburzeniem Frydecki i zmierzył mnie pogardliwem spojrzeniem. — Poważa-ż się dziecinna twa mądrość żartować z wysiłku duchów olbrzymich, śmiałych i wzniosłych, których mózg twój nawet pojąć nie zdoła? Jedna kropla tego płynu—i zuchwały śmiech na ustach twych zmieni się w szczękanie zębów. Kryształ ten zawiera w sobie cuda, tajemnice nie do pojęcia dla ignorantów twego rodzaju, ty, szyderco zuchwały! Patrz, słoneczne, jasne te krople mają siłę twórczą—bo mają władzę rozbudzania owych tajemniczych zmysłów, które drzemią w najciemniejszym zmroku twej duszy i które się zazwyczaj wówczas dopiero przebudzają, gdy duch zbliża się do bram owej wielkiej tajni, która zowie się śmiercią. Pij, a usłyszysz, a ujrzysz — ale nie uchem, ale nie okiem — rzeczy nieprzeczuwane! Pij, a tysiąc myśli zrodzi się w tobie—ale nie drogą mózgu!

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA.

Wznowienie wydawnictwa.

Wydawana przez lat 14 (od 1880 — 1891) stara niem ks. Tadeusza Lubomirskiego, Edmunda Stawiskiego, Stanisława Przystańskiego i prof. Plebańskiego „Encyklopedya wychowawcza“ zacznie wychodzić w dalszym ciągu pod kierunkiem prof. Romana Plenkiewicza.

Do tej pory wyszło tylko cztery tomy, które przerwane zostały na niedokończonej literze G. Zapewniają, że ciąg dalszy encyklopedyi wychodzić będzie pośpiesznie, albowiem dużo opracowanego materyału daje możność rychlejszego wypuszczenia zeszytów pojedynczych. Wobec zamiaru zawarcia całego wydawnictwa w 15 tomach, redakcya Encyklopedyi zwraca uwagę współpracowników na jak największą zwięzłość artykułów. Biuro redakcyi mieści się przy ulicy Sosnowej Nr. 1 i tam też nadsyłane być winny książki, broszury, listy i rękopisy.

„Encyklopedyi wychowawczej“ brak jest u nas nader dotkliwy, a mnóstwo też nauczycielek młodych w najważniejszych kwestyach pozostaje często bez wskazówek i pomocy.

Ze stowarzyszeń.

Zatwierdzoną już ustawę Syndykatu rolniczego warszawskiego przesłała kancelarya Generał Gubernatora rządowi Gubernialnemu warszawskiemu, dla zakomunikowania jej założycielom. Wkrótce zatem rozpocznie się organizacya tej instytucyi ziemiańskiej.

W bieżącym miesiącu przesłanem zostało zaopatrzone 30 podpisami podanie o zatwierdzenie w Warszawie Towarzystwa działaczy na polu drukarstwa. Instytucya centralna w Petersburgu mająca ten sam charakter, zajmie się wyjednaniem pozwolenia władzy.

Projekt statutu instytucyi mającej na celu popieranie rozwoju gospodarstwa kobiecego pod nazwaniem „Towarzystwo gospodarstwa i przemysłu kobiecego,“ został już przedstawionym do zatwierdzenia władz. Organizacya jest podobną do identycznego stowarzyszenia istniejącego w Finlandyi. Statut tamtejszy pozwala na urządzanie pogadanek, wystaw, muzeów, na kupno narzędzi, otwieranie składów i agentur dla zbytu produktów rolnych.

W roku bieżącym przyznane będą w Towarzystwie ogrodniczem zapomogi dla młodzieży kształcącej się w tym zawodzie. Kandydaci ubiegający się o te zapomogi złożyć winni w biurze Towarzystwa (Bagatela Nr. 3) odpowiednie podanie przed datą 1 Czerwca. Do tego podania dołączonemi być winny a) dokumenty osobiste wraz z treściwym opisem życia własnoręcznie napisanym — b) świadectwa zakładów ogrodniczych, w których kształcił się kandydat.

Towarzystwo Zielonego Krzyża. Pod taką nazwą powstać ma w Warszawie Towarzystwo, którego zadaniem będzie opieka nad osobami samotnemi, poszukującemi zajęcia, i udzielanie im czasowej opieki. Niezależnie od tego celu zamierza stowarzyszenie zakładać instytucye poprawcze. Ustawa tej instytucyi opracowana przez adwokata przysięgłego Weydla w tych dniach przesłaną będzie do Petersburga, do zatwierdzenia władz właściwych.

Rozwożenie obiadów.

Delegowani Towarzystwa Przeciwżebraczego pp. Ksawery Chamiec i K. Rose, zbadawszy w Berlinie organizacyę kuchni ruchomych, zdawali relacyę przed zarządem Towarzystwa z tego, co tam znaleźli na miejscu. Otóż w Berlinie na jednem z przedmieść restaurator-przedsiębiorca nazwiskiem Hoenke zbudował na wielką skalę kuchnię, w której przyrządza się tylko jeden rodzaj pożywienia, mianowicie zupa, a jej treść stanowi mięso, bulion, różnego rodzaju strączkowe, wreszcie zaprawy nadające potrawie smak przyjemny, co już należy do tajników sztuki kucharskiej. Zdaniem sprawozdawców zarówno mięso, jak przyprawy wszystkie używane w kuchni Hoenckego są w gatunku najlepszym, a samo przyrządzenie nie pozostawia nic do życzenia. Taką zupą wypełnia jadłodajnia w godzinach południowych kotły urządzone w specyalnych ogrzewanych wozach, i wysyła na miasto, rozumie się przedewszystkiem w dzielnice zamieszkałe przez ludność robotniczą. Wóz dwukołowy ma do obsługi oprócz powożącego, konduktora z łyżką objętości kwarty, i laufra poprzedzającego wóz, który trąbką daje po podwórzach sygnał o zbliżającej się ruchomej restauracyi. Na ten odgłos wysypują się z każdego domu liczni mieszkańcy zaopatrzeni w naczynia stosowne, a konduktor wlewa tą łyżką zupę każdemu z nich i pobiera zapłatę po 10 fenigów, to jest po $4\frac{1}{2}$ kopiejek naszych za taką miarkę, z której jest trzy talerze. Przedsiębiorca ma mieć, zdaniem sprawozdawców, zysk niewielki, ale zupełnie pewny. Uznawszy raz kontrolę sanitarną, H. zabezpieczył się przeciw konkurencyi garkuchni tanich. Obecnie wysyła on na miasto 8 wozów, a w każdym z nich mieści się po 850 litrów (mniej więcej kwart) tej zupy. Zapotrzebowania byłoby na ilość dwa razy większą, ale dotąd urządzenie zakładu na takie rozszerzenie zbytu nie pozwala.

Ma zatem rzecz taka w Berlinie zupełne powodzenie jako przedsiębiorstwo; u nas, jak słusznie przypuszcza zarząd Towarzystwa przeciwżebraczego, przedsiębiorcom takiego interesu oddać w ręce nie można, boby się wręcz przeciw konsumentowi sprawa cała obróciła. Wiadomo przecież, czem są w Warszawie ostatniego rzędu jadłodajnie, i jakie wstrętne a szkodliwe zdrowiu odpadki dostaje tam ludność uboga za swój grosz ciężko zapracowany. Dopóki zatem pozostawać będą kuchnie ruchome w rękach instytucyi, która zapewne zadawalniać się będzie tem, że pokryje koszta, ludność zyska jedyną sposobność tańszego i zdrowszego odżywiania się, niż do tej pory.

Wskazówki i rady.

Zachowanie smaku kartofli do lata.

Gdy wiosna nadchodzi, przypominamy czytelniczkom naszym o zachowaniu wyrastających w piwnicach kartofli, zawierających w sobie trującą solaninę. Najpierwszym tu warunkiem jest obrywanie wyrastających kiełkowaniem kartofli, dla zachowania zaś smaku należy zagotować w kotle wody, kartofle opłukać, włożyć w koszyk lub siatkę i zanurzyć je w kotle na 4 sekundy w czasie wrzenia. Po wyjęciu ostudzoną kartoflami wodę powtórnie zagotować i zanurzyć nową partyę kartofli, póki się wszystkie nie oparzą. Sparzone rozsypać cienką warstwą w przewiewnem miejscu, naprzykład na górze, gdyż w Marcu przypuszczalnie już mrozów takich niema, aby dobrze obeschły, a następnie sypie się w pakę lub piasek do suchej ciemnej piwnicy. Postępowanie takie niszczące zarodki fermentacyi, czynią kartofle zdrowymi i smacznymi aż do nastania świeżych.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Reforma gorsetów.

Niewyczerpana pomysłowość francuzów dokonała wielkiego dzieła—zdołała ona pojednać w kwestyi gorsetów hygienistów z kobietami, wynalezieniem form zaspakajających żądania obu stron. Nowość polega na tem, że w gorsecie od przodu w pasie dają materyał elastyczny, lekki, mocny a rozciągalny; wten sposób unika się nacisku na żołądek, serce, wątrobę i nie przeszkadza swobodnemu krążeniu krwi. Od góry, po dawnemu, daje się materyał zwyczajny i trochę fiszbinów, od dołu gorsetu tak samo, tylko fiszbinów jeszcze mniej z wyjątkiem brykli. Na plecach i z boków gorset pozostał bez zmiany, obcisły, z fiszbinami, które pomagają trzymać się prosto. Naturalnie przy nowej tej formie zmniejsza się szczupłość w pasie, o którą też nie ubiegają się już tak bardzo jak dotąd paryżanki, a moda staników lekko z przodu upinanych, długich krawatów i rozmaitych przybrań, przychodzi w pomoc zaprowadzonej reformie i pozwoli stopniowo oswoić się z tem zmniejszeniem wcięcia. Mamy nadzieję, że jeżeli nasze panie zaczną żądać nowej formy gorsetów, zmuszą fabryki do szybszego podążenia za modą i zerwania z dotychczasową rutyną, tak szkodliwą dla zdrowia.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. Stan. C. Kroju na wymiar centymetrowy uczy metoda francuzka, przyjęta w magazynach i szkołach kroju, ale tego jednorazowym opisem nauczyć niepodobna — trzeba od osoby wykwalifikowanej uczyć się przez kilka tygodni albo i dłużej.

„Ursza.“ Maison Phenix Niecała Nr. 12. Czy na wyrysowanej formie na arkuszu z krojami wystarczy na zaszycie, czy trzeba dodawać, najlepiej wymierzyć podług miary, na którą krajemy formę.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

KAUCIONOWANE BIURO NAUCZYCIELSKIE

profesorowej CLAVEL

w Warszawie, Warecka 10

poleca:

Nauczycieli, Nauczycielki,

Wychowawczynie i Bony.

Korespondencye z Francyą, Szwajcaryą, Niemcami i Anglią. 139

1861 r. 1872 r.

1882 r. **Skład** 1896 r.

TOWARZYSTWA

wyrobów porcelanowych i fajansowych

M. S. Kuzniecowa,

Senatorska 32.

Poleca w wielkim wyborze **Serwisy** porcelanowe: stołowe, do herbaty i kawy; garnitury umywalnie rozmaitych fasonów i najróżnorodniejsze desenie, oraz najrozmaitsze **filiżanki** do kawy i herbaty, wyroby majolikowe. Specyalne naczynia porcelanowe dla restauracyj. Porcelana pod względem trwałości przewyższa wielokrotnie wszelki fajans, chociażby najtrwalszy. 2044

SPECYALNA PRACOWNIA BIELIZNY

MĘZKIEJ, DAMSKIEJ, DZIECINNEJ i POŚCIELOWEJ

Rutynowanej Specyalistki

W. KUSIDŁOWICZ

W WARSZAWIE

Krucza 42 (w podwórzu)

Cenniki illustrowane gratis i franco. 2039

Magazyn Paryskiej Galanteryi

SKÓRZANEJ

„á la Ville de Paris"



(Maroquinerie Parisienne)

Albumy,
Portfele,
Woreczki,
Portmonetki,
Nessesery i t. p.

Marszałkowska 132. 2035

„SŁOWO"

DZIENNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY, LITERACKI, EKONOMICZNY.

I HANDLOWY

wychodzi codziennie prócz świąt w Warszawie

pod redakcyą

Mścisława Godlewskiego

przy udziale pierwszorzędnych pisarzy polskich

„SŁOWO" powiększyło swój format o $^1/_3$ dotychczasowej wielkości, bez zmiany warunków prenumeraty.

Oprócz zwykłych rubryk codziennych i artykułów wstępnych oraz korespondencyi z całego świata, **„SŁOWO" zamieszcza codziennie dwa feljetony:** naukowo literacki i powieściowy.

W 1900 r. w feljetonie powieściowym „SŁOWO" drukuje dokończenie wielkiej powieści jubileuszowej.

Henryka Sienkiewicza

p. t.

„KRZYŻACY."

Nowoprzybywający od Nowego Roku prenumeratorowie „SŁOWA" mogą otrzymać początek **„Krzyżaków"** (sześć części) za dopłatą **1** rs.)

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie: Rocznie rs. **9**, półrocznie rs. **4** kop. **50**, kwartalnie rs. **2** kop. **25**, miesięcznie **75** kop. Za odnoszenie do domu dopłaca się **5** kop. na miesiąc.
z przesyłką pocztową: Rocznie rs. **12**, półrocznie rs. **6**. kwartalnie rs. **3**.
Za granicą: Rocznie rs. **14** kop. **50—40** frank.—**19** guld.—**32** marki.
Półrocznie **8** rs.—**22** fran.—**10** guld.—**17** marek.
Kwartalnie **4** rs.—**12** fr.—**5** guld.—**9** marek.
Miesięcznie **1** rs. **50** kop.—**4** fr.—**2** guld.=**3** marki. 6

Adres Redakcyi i Administracyi „SŁOWA" Warecka 15 w Warszawie.

Sposób użycia załączam przy flakonach i wysyłam



na żądanie gratis i franco.

CAPILLIFER

ŚRODEK

wzmacniający cebulki włosów niszczący łupież, wskutek czego rosną gęste i mocne włosy, co stwierdzono długoletnią praktyką. Ceny flakonów stałe: rs. **1** kop. **20, 2, 3, 4** i **6** rubli **Mydła specyalne do włosów po 20, 30 i 40 kop. sz.** Pozwolenie Urzędu Lekarskiego za Nr. 1036. Aby uniknąć naśladownictwa, wyłączna sprzedaż u wynalazcy

T. L. GRABOWSKIEGO

61 **Aleja Jerozolimska Nr. 70.**

Obstalunki od rs. 2 załatwiam za zaliczeniem

SZKOŁA KROJU i SZYCIA

STEFANII KUCZYŃSKIEJ

oraz pracownia sukien „Pelagii"

Żórawia Nr. 1 m. 9.

za pomocą przystępnych w 4-ch językach wykładów wyucza w bardzo krótkim czasie kroju i szycia. Tamże przyjmują się do roboty suknie i okrycia damskie, wykonywane podług najnowszych modeli. 2012

NOWO-OTWORZONY! 2034

Magazyn wyrobów srebrnych i złotych

S. SUKERT

Bielańska N. 9, Hotel Paryzki, w Warszawie

poleca srebra stołowe, cukiernice, papierośnice i t. p. oraz srebrną i złotą biżuteryę, przyjmuje obstalunki i reperacyę.

Dozwol. przez Urząd Lekar. Gub. Warsz. za № 868.



MAGAZYN MEBLI

Maksymiliana KALMUS

Warszawa, Marszałkowska 149, Próżna 2.

Stale zaopatrzony w wielki wybór mebli od najprostszych do najwykwintniejszych.—Wykonywa obstalunki szybko i akuratnie we własnych warsztatach stolarsko-rzeźbiarskich.

Ceny nizkie, lecz stałe. 191

154

Zakład Ogrodniczy

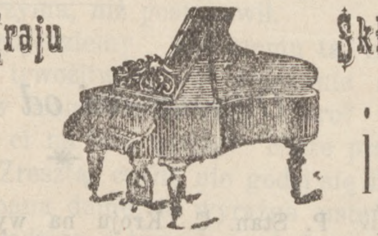
W. GARNUSZEWSKIEGO

Krakowskie-Przedm. N-r 5

poleca wszelkie wyroby w zakres specyalności wchodzące.

Ogrody własne w MOKOTOWIE, Kolonia N-r 6/C.

Największe w Kraju Składy Fortepianów,



Pianin i Melodykonów

HERMAN i GROSSMAN

WARSZAWA, Mazowiecka № 16.

St.-PETERSBURG, MOSKWA, LUBLIN.

WYNAJEM. — Sprzedaż na rozpłaty miesięczne poczęwszy od 25 rubli.

Illustrowane katalogi na żądanie franco i gratis. 59

Nagrodzony najwyższemi nagrodami na wszystkich wystawach

ZAKŁAD ORTOPEDYCZNY

Maurycego ERLICH

ucznia **Mathieugo** w Paryżu, prostowanie wszelkich skrzywień kostnych stosownemi aparatami ze wskazówką pp. lekarzy. Zakład egzystuje przeszło lat dwadzieścia i powołuje się na najpierwsze miejscowa powagi lekarskie. 89

Chmielna 32.

Oszczędność pracy i pieniędzy!

Płyn do czyszczenia mosiądzu, miedzi, niklu i innych metali, zastępujący w zupełności wszelkie **POMADKI**, a przewyższający je co do szybkości i czystości w pracy.
Wyłączna sprzedaż w składzie wyrobów żelaznych i przedmiotów gospodarstwa domowego.

Fr. GORYWODY

Chmielna № 20, róg Szpitalnej.

Dla handlujących rabat! 2017

Pracownia Sukien i Okryć Damskich

Zofii ŁĘCKIEJ

przeniesioną została

z ul. Hożej Nr. 27 na ***ul. Żórawią Nr. 45, m. 2,*** z bramy na prawo.

Wykonywa wszelkie roboty po bardzo niskich cenach.

PRACOWNIA SUKIEN I OKRYĆ DAMSKICH

JADWIGI ESMAN

b. krojczyni firmy

B. HERSE

Przyjmuje wszelkie obstalunki w zakres krawiectwa damskiego wchodzące.

Marszałkowska № 119, 1-sze piętro. 2040

Poleca modną biżuteryę z



czeskich granatów

JAN REIMANN

Warszawa, Krakowskie-Przedmieście №. 43.

Fabryka i skład główny w Pradze Czeskiej Příkopy 10.

Filje: w Wiedniu, Berlinie, Hamburgu, Karlsbadzie, Cieplicach. 113

Egzystująca od roku 1824

FABRYKA WYROBÓW PLATEROWANYCH

i Srebrnych 84 próby

Józefa Fraget,

w Warszawie, ulica Elektoralna Nr. 16.

WŁASNE MAGAZYNY ZNAJDUJĄ SIĘ:

W WARSZAWIE: Senatorska 17, Krakowskie-Przedmieście 69, Nalewki 16. ŁÓDŹ: Piotrkowska 16.

2010

Дозволено цензурою. Варшава, 7 Марта 1900 г. Redaktor **Jan Skiwski.** DODATEK.

Wydawnictwo i Druk Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno-Wydawniczego.